

Napisał Andrzej Drzewiński

Proceś dziejowy

Ilustrował Przemysław Woźniak

Mike Trafalgar Smith miał lat dwadzieścia pięć, daleko posuniętą łysinę i około dziesięć dolarów w kieszeni. Dwie ostatnie cechy skutecznie jednak niweczyły uroki życia płynące z pierwszego waloru. Tego późnego popołudnia umówił się, na skrzyżowaniu South Avenue i Sześćdziesiątej Ulicy, z Susan Creston, maszynistką pracującą jak i on w firmie Blackwooda. Cekał na dziewczynę przed wielką szybą wystawową salonu telewizyjnego i nerwowo przestępował z nogi na nogę. Susan była niską brunetką o dużym biuście i lekkim zezie. Obydwie cechy były dla Mike'a nie do pogardzenia. Pierwsza sprawiła, iż uznał dziewczynę za godną grzechu, druga iż nikt inny nie miał na nią ochoty. Niestety, jak dobrze wiedział, nie miał wyglądu Harrisona Forda. Spacerował więc wzdłuż sklepu i zgrzytając zębami, oczekiwał chwili, kiedy się dowie na ile Susan ceni swoją osobę. Będzie to wprost proporcjonalne do spóźnienia, jakie mu zaszerwuje. Potrącił kogoś, przeprosił, i aby się zabezpieczyć na przyszłość, stanął przy wystawie. Trzy rzędy kolorowych i płaskich jak naleśniki telewizorów reprezentowały japoń-

ski koncert „Hippon Hoso Kyokai”, a na każdym z nich leciał fragment tego samego teledysku. Trzydziestu identycznych skośnookich facetów z szablami obcinało trzydzieści identycznych głów, te zaś rytmicznie bluzgając krwią toczyły się po posadzce i śpiewały. Szukając ceny, Mike dostrzegł przy samej szybie tekturkę z paroma cyframi. Odruchowo zaczął szukać pomiędzy nimi przecinka. Niestety, nie znalazł go i posmutniał.

Z tyłu zatrafiły klaksony. Odwrócił głowę. Przechodzień-samobójca zniknął właśnie w podcieniu wielkiego kina, po drugiej stronie ulicy. W świetle neonów błyszczał tam monstrualny plakat przedstawiający ciężki miecz ze stali nierdzewnej. Wystawał on spomiędzy łopatek faceta z baraniami rogami na głowie i o podobnym wyrazie twarzy. Trudno było ocenić, co jest przyczyną grymasu. Miecz, czy też sex-appeal rozkraczonej blondynki, dzierżącej jeszcze rękojeść w garści.

– Mike, długo czekałeś?

Oderwał wzrok od plakatu i wyszczerzył zęby gestem, który podpatrzył u Roberta Redforda.

– Nie wiem.

Susan spojrzała z wyrzutem podsuwając mu zegarek pod nos.

– Biedaku – szepnęła – Całe dwadzieścia minut.

– Och – jęknął nie wiedząc czego dziewczyna oczekuje. – Podobno masochiści lubią, gdy się ich maltretuje...

Dwoje starszków idących chodnikiem przerwało jego rozterkę.

– Przepraszam – powiedział mężczyzna stukając łaską o mur – Którędy należy iść do Central Park?

Susan zerknęła na Mike'a i uśmiechnęła się ciepło.

– Ciągle prosto, ale lepiej tam teraz nie chodzić.

Staruszka oderwała wzrok od wystawy. Sądząc po minie musiało ją mdlić.

– Dlaczego? – zapytała lekko bulgocąc.

Mike pomyślał, że z pewnością ma złe dobraną protezę.

– Tam biją i gwałcą – odpowiedział, groźnie przewracając oczami.

Twarze obojga zajaśniały szczęściem.

– To bardzo dobrze – zaszczębiotała staruszka – Ronald właśnie kupił buldoga.

Mike i Susan nastawili uszu.

– Co kupił?

Kobieta spojrzała z wyrozumieniem i trąciła mężczyzną łokciem.

– Pokaż im.

Zza uchylonej poły marynarki mignęła kolba rewolweru.

– Idziemy go wypróbować – szepnęła staruszka i zamlaskała.

Mike miał oczy jak spodki.

– Jak wypróbować?

– No, to jasne, podparł się na lasce – Ktoś podejdzie, aby nas zaczepić, a ja go kropnę.

– Tak, tak – zawtórowała staruszka – A to takie dziury rąbi...

Robiąc ruch ręką prawie przysiadła. Mike sam nie wiedział, co ma odpowiedzieć, i chyba dobrze, że stało się to, co

stać się miało. Wraz z odgłosem odkorkowywanej butelki pojawił się na chodniku kanciasty przedmiot.

Był duży, czarny, i mówiąc krótko przypominał budkę telefoniczną. Tłum na chodniku skamieniał, poza jednym osobnikiem, który nie wyhamował i wpadł na materializujący się z niczego kształt. Obydwoje wydali głośny odgłos: facet wrzasnął, a budka jęknęła. Po paru sekundach ludzie otoczyli miejsce cudu. Mike wraz z Susan znaleźli się w pierwszym rzędzie.

– Ronald bądź gotów – szepnęła staruszka do towarzysza, który mrugnął jednym okiem i wsadził dłoń pod marynarkę.

Susan pociągnęła Mike'a za mankiet.

– Co to jest?

Wzruszył ramionami, odpychając przy okazji nogą czyjegoś psa.

– Nie wiem, może jakiś eksperyment.

– To robota czerwonych – stwierdził głos z tłumu. – Trzeba dzwonić po FBI.

– E... – odpowiedział długowłosy student z rulonem pod pachą. – Gdyby to było od nich, to miałyby gwiazdę.

Tłum mruknął z aprobatą.

– W takim razie, co to jest? – nieznanomy nie ustępował.

Zamiast odpowiedzi rozległ się dźwięk rozsuwanych drzwi i budka stanęła otworem. W środku mrugało zachęcające światelko.

– Uciekajmy – wrzasnęła kobieta z szalejącym na smyczy pudlem.

Tłum zarechotał i nawet nie drgnął.

– Ronald, nigdzie nie pójdziesz – załkała raptem staruszka i pchnęła swego towarzysza w stronę otworu. – Nie idź, och, nie idź tam!

Gapie falowali, słyhać było okrzyki.

– Niech idzie! Trzeba wejść i sprawdzić.

Staruszek z buldogiem w dłoni zapierał się nogami o chodnik, ale kobieta była silniejsza. Już go prawie wpychała do budki. Mike nabrał powietrza i zrobił krok do przodu.

PON HOSO KYO



– Proszę go puścić – rozkazał – Ja tam wejde.

Uwolniony z uchwytu staruszek padł na kolana.

– Łaskawco – wyjęczał, a kobieta pobłogosławiła Mike'a ruchem dłoni. – Idź i broń naszego honoru.

Tłum zaklaskał. Mike zwrócił oczy ku Susan, pomachał ręką i nabierając oddechu, aż po szczyty płuc, wszedł w równe wejście. Budka zniknęła, pozostawiając puste miejsce na trotuarze.

Kiedy drzwi rozwarły się ponownie, siedział na podłodze i szczął zębami. Na usprawiedliwienie można podać fakt, iż temperatura pomieszczenia, w czasie tych kilku minut podróży spadła o kilkanaście stopni. Uniósł głowę. Na zewnątrz było białe. Mrużąc oczy podpełził do wyjścia i wystawił głowę. To co ujrzał z pewnością nie było South Avenue, ani w ogóle czymkolwiek mu znanym. Znajdował się na gigantycznej, wysokiej na dwadzieścia metrów koscie, o mlecznie opalizujących ścianach. Jedynym wgłębieniem podłoża był niewielki lej. Szurając podszewkami wydostał się z niego na równą powierzchnię. Kolejny odgłos odkorkowywanej butelki rozwiązał kwestię kabiny. Mike westchnął i rozejrzał się po pustej hali.

– Skąd jesteś – zapytał bezosobowy głos.

– Z New York – odparł odruchowo, nie mając nawet pojęcia, skąd dochodzą słowa.

– Rok?

– Urodzenia?

– Nie – głos jakby się zeżłościł – Który był rok, gdy wsiadłeś do kognitera.

– Tego ... – chciał pokazać palcem, lecz pusty lej wstrzymał ruch.

– Tak. Który wtedy był rok?

Mike zachichotał.

– Jak wtedy? Dzisiaj. Dzisiaj jest dwudziesty czerwca 1984 roku.

– Nie – głos zaprzeczył – Dzisiaj jest dwudziesty grudnia 2492 roku.

Mike poklepał się po kieszeniach, wyciągnął papierosa, i zanim odpowiedział, wciągnął dym głęboko do płuc.

– Kim wy jesteście? Wojsko? Jakiś eksperyment?

– Nie – odparł niewidzialny rozmówca – Temporalny Urząd Śledczy.

Wypuścił obłok dymu.

– Dobra jest. Pies was trącał. Czego chcecie?

– Zostałeś przeniesiony ze swoich czasów, abyś mógł odpowiadać za zbrodnie przeciw cywilizacji.

Mike zastrzygł uszami, ale nie odezwał się.

– Będziesz osądzony i skazany zgodnie z procedurą jaka była w twoich czasach.

– Jeśli jesteście z przyszłości – przerwał siląc się na ironię – To skąd wiecie, jak było w XX wieku.

– Zachowały się dokumenty, z nich można wiele odczytać.

– A niby dlaczego to mnie ten zaszczyt kopnął?

– Przypadek, kogniter przenosi każdego, kto wejdzie do kabiny.

– Nie wierzę w ani jedno słowo.

– Nie musisz, przekonasz się.

Światło gwałtownie zgasło i jedynie papieros jarzył się drobnym punkcikiem w ciemnościach.

– Hej – Mike krzyknął – Co się dzieje?

Nagła jasność zdzieliła go po oczach jak pałką. Kiedy odzyskał wzrok, z niedowierzaniem, lecz i wielką radością spostrzegł, że siedzi w poczekalni typowego komisariatu. Pomieszczenie nie było mu znane, ale twarda ławka, drewniana balustrada i ustawione za nią biurko jednoznacznie określały funkcję tego miejsca. Gruby policjant siorbał kawę i bez głębszego zainteresowania przeglądał gazetę. Mike chciał wstać i podejść w jego stronę, gdy nagle szarpnięcie osadziło go na miejscu. Obejrzał się. Jego lewa ręka została przykuta kajdankami do żeliwnej rury biegnącej wzdłuż ściany.

– Hej, panie władzo, co to znaczy?
Policjant zanim odpowiedział pociągnął długi łyk smolistej cieczy.

– Siedź spokojnie – powiedział – Zaraz cię przesłuchają.

– Kto?

– Pan sierżant – odparł i zasłonił się gazetą.

Był to „The Spectator”. Mike zastanowił się. Wyglądało, że stracił przytomność w budce i dostarczono go na komisariat. Ale dlaczego jest skuty? I gdzie podziała się Susan?

W rogu, nad szafą pancerną tykał staromodny zegar. Obok wisiał zagięty na rogach plakat, gdzie na pierwszym planie widać było rosnącego policjanta pokazującego co najmniej z sześćdziesiąt białych zębów. Trzymał on na wyciągniętych dłoniach karabin maszynowy. U dołu widać było napis: „Bądź świadomym obywatelem! Przyłącz się do walki z narkomanią”. W dalszym planie można było dostrzec tychże obywateli prujących bez pardonu do degeneratów o ziemistej skórze i wypadających z kieszeni strzykawkach. Mike roześmiał się szczerze.

– Dobry numer – wyjaśnił, gdy policjant opuścił gazetę.

– O co chodzi?

– O ten plakat, że to niby tak dosłownie.

– Co dosłownie?

– No... – ruszył głową i umilkł.

Na nieskazitelnie pustej ścianie nie wisiał żaden plakat. Policjant uśmiechnął się i ponownie wycofał za płachtę pisma.

Lewą rękę Mike miał unieruchomioną, mógł dać sobie w pysk tylko ręką prawą. Uczynił to, aż klasnęło.

– No – sapnął, masując obolałe policzki – To powinno mnie uwolnić z tych halucynacji.

Usłyszał trzask rozpinanych kajdank. Policjant, który wyskoczył jak diabeł z pudła, pociągnął go za sobą. Weszli

za barierkę i stanęli przed matową szybą drzwi z napisem: „pokój przysłuchań” Policjant zastukał.

– Wejść!

Weszli. W małej kanciapie pod jedną ścianą stało biurko i dwa krzesła, pod drugą regał z dokumentami. Trzecią zajmowało okno. Wychodziło, Mike rozpoznał od razu, na zespół sklepowy Schiebla. Znajdował się więc w komisariacie na North Avenue.

– Siadaj! – ryknął łysy facet z nazywkami na rękawach.

Mike chrząknął, aby pokazać, że się nie boi i usiadł.

– Blżej!

– Co bliżej?

Łysy chwilę milczał, a potem sięgnął pod biurko. Kiedy się wyprostował, Mike oblizwał wargi. Miał prawo, pałka trzymana przez sierżanta miała ponad pół metra, i sądząc z odgłosu jaki wydała, gdy opadła na blat, co najmniej trzy kilo wagi.

– Masz usiąść na samym skraju krzesła.

Mike usiadł, ale już nie spytał po co. Ostry kant przeżynał pośladki na pół.

– O’k – mruknął łysy – Teraz mów.

Zamrugnął z ożywieniem.

– Ja naprawdę nie wiem, za co mnie zatrzymano.

Łysego zalała krew; dosłownie. Stał się czerwony jak burak. Walnął pięścią w stół. Jak się okazało po to, aby uruchomić reflektor, inne nazwy były za łagodne, skierowany prosto w twarz Mike’a.

– Czy przyznajesz się, że nic nie zrobiłeś przeciwko zanieczyszczeniu środowiska w dwudziestym wieku?

Mike rozglądał się po pokoju. Nad regałem, o ile mógł dojrzeć, widniał portret starszego faceta z wąsami.

– Patrz tutaj – pałka szturchnęła go w ramię – i odpowiadaj.

– Jakiego zanieczyszczenia? – odparł mając wrażenie, że to bynajmniej nie on ma zaburzenia.

INTERROGATION
ROOM



– A, szczegółów chcesz? – chrząknął łysy – W porządku, będą i szczegóły.

Zaszeleścił papier.

– Po pierwsze: program Solar Satelite, który nieodwracalnie zmienił klimat, po drugie: katastrofy elektrowni jądrowych i ich odpady, po trzeciej: budowa Kanału Sueskiego...

Mike, słuchający tego z wytrzeszczem oczu, teraz już nie wytrzymał.

– Jaki kanał?! Co to za brednie?

Sierżant omyknął językiem i podrapał się po łysinie.

– Fakt, dziwne skąd to się wzięło. Nawet nie dali wyjaśnienia.

Nie zważając na biały instrument, Mike przesunął się na środek krzesła i wrzasnął.

– Co to za komedia? Gdzie ja jestem?!

Łysy zgasił lampę i unosząc pałkę podniósł się z krzesła.

– Drzeć mordy nie wolno, a jesteś, jak ci powiedziano, na przesłuchaniu Temporalnego Urzędu Śledczego.

– Gówno – ryknął Mike i odskoczył, wywracając krzesło.

Zanim łysy obszedł biurko, Mike jednym rzutem oka ocenił sytuację i dopadł okna.

– Będziecie siedzieć za te numery! – krzyknął rozdzierająco.

Otworzył okiennice i wyskoczył na chodnik, a właściwie myślał, że tak czyni. W połowie lotu chodnik, jak i cała reszta ulicy zniknęły. Mike runął twarzą na białą posadzkę. Nie musiał unosić głowy, był z powrotem w kostce.

– Niedobrze, że stawiasz opór – zadźwięczał nad głową znajomy głos – To nie da.

Ślizgając się na gładkiej powierzchni, przywrócił ciału pionową postawę.

– Dobra, teraz wierzę, że mnie porwaliście – stwierdził – Ale czego chcecie?

– Niedługo sam nam to powiesz. Światła zgasły, a gdy się rozjaśniło, sceneria uległa zasadniczej zmianie.

Znajdował się w małym pomieszczeniu o podłodze i ścianach z kamienia. Nad pryczą zasłaną podartym kocem skwierczało łuczywo. Okna nie było, jedynie ciężkie drzwi z zakratowanym otworem tkwiły w murze.

– Co oni kombinują? – wyszeptał i potoczył wzrokiem po celi.

Jedynym odkryciem był nocnik z pokrywką stojący pod pryczą. Chcąc nie chcąc, skorzystał z okazji. Na szczęście zdążył w samą porę. Korytarzem zadudniły kroki. Na dźwięk skrzypiących zawiasów wstał, podciągając spodnie.

– Chodź – powiedział strażnik nie wchodząc nawet do celi.

Mike nie dziwił mu się. Przy tym wzroście i tuszy przechodzenie przez wąskie drzwi było chyba ponad siły tego człowieka.

– Gdzie idziemy?

Typ nie raczył odpowiedzieć, jedynie pchnął Mike'a we właściwą stronę korytarza. Szyja zabolowała od kropli oliwy, które oderwały się z pochodni.

– Gdzie mnie ciągniesz, szmaciarzu? – mruknął rozcierając kark i momentalnie zamilkł gulgotząc.

Strażnik, najnormalniej w świecie poczęstował go kopniakiem. Mike zatoczył się na ścianę. Mógłby przysiąc, że jakieś liczne i oślizłe robactwo uciekło mu spod dłoni.

– Oszałeliście w tym dwa tysiące pięćsetnym roku – stwierdził.

– Mamy rok dwa tysiące czterysta dziewięćdziesiąty drugi – poprawił go strażnik, i do wielkich, przepuszczających smugi światła drzwi, doszli już w milczeniu.

– O Boże! – Mike poczuł jak miękną mu kolana.

Pod ścianami ogromnej sali, całej rozświetlonej podwójnym rzędem pochodni, stały narzędzia tortur.

ciąg dalszy w następnym numerze.

✦ Napisał Andrzej Drzewiński

Proceś dziejowy

Ilustrował Przemysław Woźniak

Część II

Dokończenie z nru 1/84

Mike, czytelnik komiksów w stylu markiza de Sade, mógł rozpoznać niejedno: żelazną dziewicę, gorącego byka, hiszpańskie buty, różnorakie liny i kołowrotki do rozciągania, a także kilka innych, których widok zasadniczo podważał wielkość dziedzictwa kulturalnego Europy.

– Wyście oszaleli. Pomyliły wam się epoki, czy co?

Strażnik, który (Mike dopiero teraz to zauważył) miał za pasem czerwony kapтур, uśmiechnął się i pogroził palcem.

– Ejże...

– Co ejże! – Mike zaperzył się – Średniowiecze mi tu robicie?

Wielkolud spojrział przez wycięcia na oczy.

– Trudno w końcu, abyśmy pamiętali dokładnie, czy dana rzecz była stosowana pięset, czy też sześćset lat temu.

– Chyba... – zaczął Mike, ale podniesiony za kark omal nie zgasił głową pochodni.

Zamachał rękami, lecz to nie przeszkodziło oprawcy. Kat wrzucił go do drewnianego koryta z pojedynczym tyl-

ko otworem na lewą rękę, a następnie docisnął wiekiem tak, że wystawała jedynie głowa. Mike zezował chwilę, patrząc, jak ten zapina klamry, a następnie spytał scenicznym szeptem.

– Co chcesz ze mną zrobić?

Popychając koryto kat rzucił mu długie spojrzenie.

– W takich sytuacjach najpierw obcinało się palce, wiem to na pewno.

– Co? Czy... zwariowałeś? – zabelkotał, lecz było za późno.

Oprawca wsunął jego dłoń pod małą gilotynę, taką jak do obcinania cygar. Zaciągnięte paski uniemożliwiały każdy ruch.

– Natychmiast przestań!

– A przyznajesz się?

– Do czego?

Ostrze gilotyny smyrnęło i Mike zawył jak dźgnięty nożem. Kat sięgnął w niewidoczną dla oczu część stołu i podsunął mu coś pod nos. Był to palec wskazujący. Mike tłukąc kolanami w wieko zaczął się wyrwać. Kat ponowił pytanie.

– Przyznajesz się?

Mike rozdarł się histerycznym wrzaskiem.

– Policja, policja!

Wielkolud wrzucił ramionami, podciągnął ostrze i ponownie szarpnął za dzwignię. Rozdzierający wrzask uderzył o sufit i spłynął przed oczy Mike'a, wraz z kolejnym palcem podsuwanym pod oczy. Tym razem był to środkowy.

– Przyznaję się, przyznaję!

– Do wszystkiego? – wielkolud był dociekliwy.

– Tak – zapiszczał Mike dostrzegając krew ciekącą wzdłuż rynienki. – Do wszystkiego.

– Do spowodowania nieodwracalnych zmian klimatu?

– Też.

– Do rabunkowego wydobywania surowców naturalnych?

– Też.

– A do zbudowania kanału?

– Jakiego kanału?

Kat podciągnął ostrze.

– Sueskiego.

– Tak, przyznaję się.

– No to po wszystkim.

Uwolnił mu przedramię z pasków i zabrał się do rozpinania klamer. Mike uniósł dłoń i o mało nie zemdlął. Z kikutów płynęła pienista krew, a ponownie uświadomiony ból szatkował ciało.

– Moje palce, mordercy! – załkał. – Moje palce!

– Co się dzieje?

Kat, któremu zaciął się jeden z zartzasków, uniósł roztargniony wzrok.

– Obwiąż je, wykrwawiam się.

– A, o to ci chodzi.

Ujął dłoń Mike i wsunął w zasłonięty klapką otwór pod blatem. W ślad za nią wrzucił obcięte palce. Coś warknęło i ból zniknął, jak zły sen. Mike wyjął rękę przyglądając się jej uważnie. Była w stanie idealnym. Westchnął, i nie mając więcej sił, zemdlął.

– Odzyskujesz przytomność – powiedział znajomy głos – Nie udawaj, otwórz oczy.

Leżał tam gdzie zawsze, we wgłębieniu mlecznobiałej podłogi. Na rękawie nie było nawet śladu krwi.

– Teraz następne przesłuchanie.

Jak zwykle skok w czerni był błyskawiczny. Zamknął oczy i otworzył dopiero, gdy poczuł, że jest na miejscu przeznaczenia.

Siedział w głębokim fotelu odgradzony taflą biurka od szczipłego mężczyzny z rzadkim wąsikiem pod nosem.

– Kieruję pańską sprawę do sądu – powiedział ów obcinając nożyczkami cygaro.

Mike wzdrygnął się.

– Dowody winy są niepodważalne.

Na lewej ścianie, całej zajętej przez wielkie, panoramiczne okno, widać było gmach PANAM i inne biurowce.

Mike założył nogę na nogę i stuknął pięścią o biurko.

– Żądam adwokata – powiedział stanowczym głosem.

Młodzieniec pyknął mu w nos kłębem dymu.

– Che, che... a amnestii z okazji tysiąclecia odkrycia Ameryki przez Kolumba, nie żadasz?

– Dobra – Mike zsunął dłoń z biurka – Jesteście z przyszłości i macie ochotę rozliczyć się z tymi, którzy zapaskudzili Ziemię. Ale przecież to nie ja przygotowałem plan Solar Power Satellite, tym bardziej, że w osiemdziesiątym czwartym, kiedy mnie porwaliście, o tym dopiero zaczynało się mówić.

Prokurator, bo musiał to być on, zaciągnął się cygarem.

– To bez znaczenia. Czy panu sprawa wielką różnicę czy coś działa się w 1527, czy też w 1567 roku? Nie! – podkreślił to strząśnięciem popiołu do popielniczki – Liczy się ogólna tendencja.

– Ale...

Gniewnie skurczona twarz powstrzymała Mike'a.

– Słuchaj pan. U was były wtedy wybory pośrednie. Głosowałeś na tego, czy

innego gościa, a on szedł do władz. Tym samym odpowiadasz za wszystkie posunięcia rządu. Zrobił pan coś, protestował, buntował się?

– Nie, ale co mogłem zrobić?

– A więc przynajmniej się pan! – krzyknął z triumfem prokurator. – Będzie to uwzględnione jako czynnik łagodzący.

– Mike zatrzepotał powiekami.

– Oszaaleliście – stwierdził – Gdybym był chociaż dyrektorem NASA, czy jakiejś elektrowni.

Prokurator z autentycznym smutkiem zajrzał mu w oczy.

– Szkoda, że jest pan tak zatwardziały – powiedział, a następnie unosząc z pogardą głowę wyszedł.

Kiedy zatrzasnął drzwi, wszystko znikło. Spadając Mike wyrznął o drewnianą podłogę. Tym razem ominął go przejściowy etap w kostce.

– Proszę się podnieść – powiedział ktoś zasłonięty szafą.

Mike wygramolił się na równe nogi i rozejrzał. Nic nadzwyczajnego: stół, parę krzeseł i szafa. Zakratowane okna wychodziły na ślepy mur.

– Proszę się przebrać – powiedział ubrany na czarno strażnik i podał białą koszulę.

Po jej rozwinięciu Mike zbladł. Materiał, na wysokości serca, miał zaznaczone czarne kółko.

– Nie chcę tego – stwierdził odrzucając strój w kącie. – To jest koszula na egzekucję.

Drugi ze strażników, o twarzy szeroko usianej wypryskami, otrzepał materiał.

– My tam nie wiemy do czego to służy, ale ubrać pan to musi.

Ręce Mike'a zostały wykręcone do tyłu, aż strzeliło w łokciu.

– Mam cię kopać, dopóki nie zmięknieś?

Mike zaprzeczył. Szczękając zębami, rozmasował łokieć i założył strój.

– Idziemy!

Przeprowadzili go wąskim koryta-

rzem do metalowych schodów. Idąc nimi, minęli parę kondygnacji i dostali się na obszerną salę. Była to sala sądowa pełna ludzi. Mike usiadł za barierką pomiędzy strażnikami.

– Sąd idzie!

Poderwano go w górę. Chudy sędzia przypominał tego, który miesiąc wcześniej wlepił Mike'owi grzywnę za rozbicie muru w Aleston, małym miasteczku na południe od Mephis.

– Panie sędzio! – wrzasnął – Dlaczego ubrano mnie w tę szmatę?!

Sędzia, który właśnie poprawiał się na krześle, zastukał młotkiem.

– Przypominam oskarżonemu, że nie ma głosu.

– To proszę o głos.

Chudzielec życzliwie skinął głową.

– Dlaczego ubrano mnie w koszulę do egzekucji?

– No, cóż – sędzia chrząknął i założył okulary – Widać pomyliliśmy się, sądziłiśmy, że w pana czasach taki właśnie strój obowiązywał w sądzie.

Strażnicy osadzili Mike'a na miejscu.

– Czy przysięgli zapoznali się z dowodami?

Z siedzącej pod przeciwległą ścianą dwunastki uniósł się mężczyzna wyglądający na głównego kucharza wielkiej restauracji. W każdym razie brzuch położył na balustradzie przed sobą.

– Tak.

– Jaki jest wyrok?

– Winny.

Sędzia skinął głową, zaś Mike wstał tak szybko, że nawet strażnicy nie zareagowali.

– Co? Już po wszystkim?! A gdzie obrona, gdzie moje wystąpienie?!

Chudy przedstawiciel prawa z niesmakiem obserwował te podrygi.

– A co, o procesach pokazowych pan nie słyszał?

– Ale nie o aż takich! – ryknął, przekrzykując tumult sali.

– Dobrze, dobrze – mruknął sędzia



i na dany znak jeden ze strażników założył Mike'owi nelsona.

Trybunał wstał, w ślad za nim ludzie. Mike chociażby chciał, nie mógł tego uczynić, nagięty ku podłodze kark był przeszkodą nie do pokonania.

– Sąd temporalny uznaje pana winnym i skazuje...

Mike'owi nie dane było dowiedzieć się, na co. Wokół rozległ się trzask, jakby tysiący pękających na mrozie gałązek i zapadła cisza. Starając się unieść głowę poczuł, że trzymające go ramiona są nieruchome, jak z marmuru. Szarpnięciem uwolnił się z uchwytu i trzymając poręcz zerknął przed siebie. Widok był jak w zatrzymanym kadrze. Cała sala tkwiła nieruchomo, łącznie z sędzią zastygłym z otwartymi ustami. Skoczył więc nad poręczą i ruszył do przejścia. Wciąż nic się nie działo. Podrapał się po nosie i to jakby pomogło.

Metr przed nim, powietrze zajaśniało, zafalowało i nabrało kształtów powabnej blondynki o biuście niczym dwie kopuły napinającym cienką bluzkę.

Mike uśmiechnął się po raz pierwszy tego dnia.

– Czy jesteś karą jaka mnie czeka? – zapytał.

Dziewczyna zaprzeczyła.

– Nie, uwalniam cię tylko od tych fanatyków – powiedziała i przestrzeń wokół nich zawirowała rozedrganym korowodem.

Gdy wrócił mu oddech, stał po kostki w zielonej murawie. Miejsce ścian zajęły niskie, krwistoliściaste drzewka rosnące na całym wzniesieniu. W dole błyszczał ocean, błękitny jak lazuryt. Dziewczyna stała metr z tyłu.

– Piękna jest nasza Ziemia, prawda?

Przytaknął i wycelował kciukiem za siebie.

– Powiedz mi, co oni w takim razie chcieli?

Zerwała z drzewa fioletowy owoc i rzuciła w powietrze. Złapał.

– Od czasu upowszechnienia kogite-

rów ciągle mamy kłopoty z takimi grupkami.

– A ty? – spytał.

– Ja? – przechyliła się, a szczyty jej piersi zakreśliły pod bluzką dwie małe pętle – Ty byś powiedział, że jestem z policji; wydział temporalny.

Owoc nie miał pestki, więc nie było nawet czym splunąć, aby podkreślić zdziwienie.

– Z policji? Niezle.

Roześmiała się.

– Mam zrekompensować twoje krzywdy. Zaraz to uczynię.

Mike powiódł maślanymi oczyma po jej sylwetce.

– Myślę – zachrypiał – że coś mi się należy.

– Naturalnie – dziewczyna uniosła w górę srebrzystą obręcz – Odstawię cię z powrotem do twoich czasów.

– No tak – powiedział Mike i szybko włożył rękę do kieszeni – Jak ktoś ma pecha...

– Co mówisz?

– Nic takiego – mruknął czując coraz silniejsze światło – Cieszę się, że wracam do siebie.

– Rozumiem to – szepnęła dziewczyna i zniknęła.

Mike zapadł w niebyt.



Coś dudniło.

– Aha! – pomyślał – Odzyskuję przytomność.

Silniki przejeżdżających ulicą samochodów hałasowały jak diabli. Ruszył dłonią po płytach chodnika.

– Susan – pomyślał i uniosł głowę.

Włos stanął mu dęba. To nie była ulica, to było jakieś śmierdzące benzyną i dymem, trzęsące się pomieszczenie. Macając rękoma uchwytów stanął w pozycji względnie wyprostowanej. Przed nim, pod szkłem kabiny siedziało dwóch facetów. Pierwszy trzymał wolant, drugi obrócony bokiem, wlepiął wzrok



w skrzynkę z napisem „GEE”. Mike w młodości liźnął lotnictwa i wiedział, że to w czym się znajduje, nie może być niczym innym, jak bombową wersją „Mosquito”.

– Proszę panów – wyszeptał, a potem przesunął się i trącił radiostrzelca w nogę – Proszę pana, gdzie ja jestem?

Facet tylko dzięki temu, że był przypięty do fotela nie spadł na pokład.

– Chris! – wrzasnął i wyszarpnął pistolet – Mamy klienta na pokładzie.

Samolot zachybotał na boki.

– Jasny szlag – usłyszeli głos zezującego do tyłu pilota – Skąd on tu się wziął?

– No! – radiostrzelec dziabnął Mike’a łufą w nos – Że też cię nie sieknęło, tam w tyle, kiedy byliśmy nad Dunkierką.

– Nad Dunkierką? – powtórzył Mike i przełknął ślinę – Wszystko wyjaśnię, tylko powiedzcie, mi, gdzie jestem?

Facet przerzucił wzrok na pulpit.

– Nad kanałem, za pięć minut brzeg – znów go szturchnął – Przyznaj się, chciałeś wyskoczyć nad Francją.

Mike rozpaczliwie pokręcił głową.

– Nie, absolutnie. Jestem Amerykaninem. Tylko powiedzcie, na litość boską, który dzisiaj jest dzień.

Tamten roześmiał się i rozpinając pasy przechylił do przodu.

– Dzisiaj mamy dwudziestego czerwca 1944 roku – powiedział sprawdzając szorstkimi klepiąciami obecność broni.

– A więc tak – mruknął Mike i zamknął powieki – Sami mówili, że czterdzieści lat, przy tych odległościach, to rzecz bez znaczenia.

Uśmiechnął się do miłego chłopaka, który z niedowierzaniem oglądał podsunięte mu właśnie prawo jazdy i zemdłony osunął się po ścianie. Stromy brzeg Anglii był coraz bliżej.